

KULTURAŁKI



Wacław Krupiński

I, Proszę Państwa, sukces!

Gdybyż od tego wieczoru się zaczęło... O ileż byłoby mniej narzekania, by nie rzec: hejtu. Swoją drogą, jakąż słowo to zrobiło w języku polskim karierę, bo też nawet ci, co przejawy miłości bliźniego a rebours kubiłami z siebie wylewają, lepiej czują się w roli hejtujących niż nienawidzących. „Łatwiej hejtować niż nienawidzić” – lapidarnie ujął to prof. Jerzy Bralczyk. Ale dość, bo mnie poniesie w rejony polityki.

Teatr Variété nie miał szczęścia być pupilkiem – ani środowiska, ani mediów. Osobliwie – fakt, że powstaje w Krakowie nowy teatr wielu osobom psuł dobry nastrój. Ileż było narzekania, marudzenia, wskazań i przeciwwskazań. Tylko Janusz Szydłowski uparcie, by nie rzec szalenie, wspierany przez prezydenta, prof. Jacka Majchrow-

skiego, walczył o to miejsce, wierząc, że stworzy tam teatr swój muzyczny. Ale że nie od razu Kraków zbudowano, zatem i dyrektor Szydłowski, mając na głowie otwarcie nowej instytucji, nie od razu ujawnił się jako artysta. Roku niemal trzeba było, by sam zrealizował „Variete film show” i utarł nosa niedowiarcom, malkontentom, zawistnikom. Wystarczyły pierwsze trzy wieczory, by siła oklasków, jakimi zauroczona publiczność dziękowała za ten spektakl, dała się słyszeć w mieście, wspierana dobrymi opiniami kilku uznanych twórców.

Wierzyłem w Szydłowskiego (ta rubryczka świadkiem), bom widział jego egzaminy i dyplomy, gdy był pedagogiem w PWST, spektakle w Teatrze Bagatela („Tajemniczy ogród”), bo z przyjemnością obserwowałem wielopokoleniową widownię „Małego Lorda” w Operze Krakowskiej (kto nie był, polecam!), samemu bawiąc się wspaniale, bo, rzecz krótko ujmując, ma on kompetencje, wyczucie i dobry smak. I umie pracować z młodymi. Umie też, przepraszam za branżowy żargon, ustawić piosenkę.

Tym razem wybrał 25 przebojów kojarzonych z fil-

mem, musicalem, takich, które każdy ma w uszach, dobrał do nich grono wykonawców z całej Polski, oddał opracowanie aranży Sebastianowi Bernatowiczowi, zaprosił do stworzenia choreografii Violettę Suską, powierzył przygotowanie kostiumów Idzie Węglińskiej i – Proszę Państwa, sukces!

Nie byłoby go, gdyby nie znakomici wykonawcy. Wymienienie wszystkich byłoby zbyt banalne, ale kilku wskazać muszę. Olgę Szomańską – zwłaszcza za przejmujące „All By Myself”, Justynę Woźniak – za „Golden Eye” (ależ ma w głosie „doły”), Nicka Sincklera – za wszystko, Karola Jasińskiego za rockowy staroć Chucka Berry’ego „Never Can Tell”, Rafała Szatana za „Kiss from a Rose”. Świetnie brzmią piosenki śpiewane w tercetach (Łukasz Szczepanik, Nick Sinckler i Piotr Brodziński w „All for Love”), kwartetach (Magda Szczepanek, Justyna Woźniak, Gosia Chruściel, Kamila Kropkowska w „Lady Marmolade”), czy w kwintetach – te same panie plus Kasia Ptasińska w „Cell Block Tango”. A duet Sincklera i Brodzińskiego w „Gangster’s Paradise”, po którym pomyślałem, że chyba polubię rap...

Bardzo dobre głosy, uzupełnione świetnym baletem, plus – co ważne – grający na żywo sekstet pod wodzą Bernatowicza, a że skupił doborowych muzyków, brzmi on wręcz jak rasowy big band. Całość związana wyimkami z filmów – ot, prosty pomysł, bo prostota, byle nie prostactwo, w sztuce sprawdza się najlepiej, a obrazy to z wielu dekad – od „Deszczowej piosenki” i „Śniadania u Tiffany’ego” po „Mamma Mia!”. Jedna piosenka wielce ryzykowna, by nie rzec odstająca od całości („Nogi roztańczone” z filmu „Hallo, Szpicbródka”) dowodzi zarazem, jak wysoko ustawił poprzeczkę Janusz Szydłowski jako reżyser. Wysoko również dla siebie. Gdy pod koniec sam wykonuje evergreen „My Way” udowadnia, że jest nie tylko teoretykiem piosenki, ale i sam potrafi wspiąć się na wokalne wyżyny. Aplauz, jaki wywołuje jest tego dobitnym potwierdzeniem. Oto dyrektor teatru muzycznego, którego nie można dźgnąć fraszką „Krytyk i eunuch z jednej są parafii, obaj wiedzą jak trzeba, żaden nie potrafi”.

Szydłowski potrafi i oby robił to częściej. Zresztą już zapowiada kolejny reżyserowany przez siebie spektakl. ©